Nr. 10. Poznań, dnia 4. Marca 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

WARSZAWA DZIŚ I WCZORAJ

przez

Starego Mieszczanina.

(Patrz Nr. 8.)

III.

Kroniczka Starego Miasta.

Pierwsi założyciele Warszawy, określili jéj granice stosownie do potrzeb ówczesnych. Miał to być gród warowny, któryby w każdéj chwili mógł dać odpór najezdniczym wrogom, a dla mieszkańców, stanowił bezpieczną ochronę.

Zwyczajem więc owych wieków, główny rynek Starego-Miasta ma kształt prostokąta, zabudowany ze wszech stron wyniosłemi kamienicami rozmaitego kształtu, i ztąd ta rozmaitość przyjemnie oko bawi.

Warszawa jako forteca, musiała zajmować jak najszczuplejszy obręb ziemi, żeby go opasać silnemi murami, wzmocnić basztami i obronnemi bramami. Ztąd téż kamienice Starego-Miasta, nabite przy sobie, w ścieśnionych szeregach, mają podwórka tak szczupłe, jak izby mieszkalne: wznoszą się za to do trzech, czterech i pięciu pięter — pod niemi obszerne piwnice, równie jak sienie wchodowe sklepione. Sienie te z krętemi wschodami, zabytek starożytnego budownictwa, zwracają uwagę znawców niedaremnie, i dla tego pisma nasze illustrowane, szczególniéj Kłosy, podają ich rysunki od czasu do czasu.

Na środku Rynku, wznosił się Ratusz, miejsce posiedzeń magistratu i sądów miejskich, a obok niego pręgierz, gdzie tracono zbrodniarzy, lub wystawiano do piętnowania. Miał sale obszerne, ozdobione wizerunkami panujących na Warszawie książąt mazowieckich, a następnie królów polskich.

Z Rynku Starego Miasta, wybiega kilka ulic wązkich, ścieśnionych tak, że na najgłówniejszéj Święto-Jańskiéj wiodącéj do Zamku Królewskiego, dwa pojazdy zaledwie wyminąć się potrafią. Było to więc w szczupłych granicach miasto, obwiedzione murami, basztami i kilku bramami, z których Krakowska przy Zamku, zarówno jak Nowomiejska, za naszych czasów dopiero rozebrane zostały.

Posąg Zygmunta III, kościół Bernardynów i Paulinów, wszystko stało za miastem, a ulica Podwale, wzięła swą nazwę iż rzeczywiście pod wałami czyli murami biegła.

Zygmunt III dla widoków osobistych przeniósłszy z Krakowa do Warszawy stolicę, nie wpłynął wcale na jéj rozrost. Z pamiątek po nim zostało niewiele; część dawnego zamku drewnianego książąt mazowieckich, rozebrawszy, wymurował, ozdobił i wzniósł wyniosłą wieżę. Zemsta wrogów naszéj ziemi usłużyła lepiéj.

Kiedy bowiem Jan Kazimierz za najściem Karola Gustawa, opuścił bezbronną stolicę i Szwedzi ją zajęli, a następnie szturmem odebrawszy, przegrał z nim bitwę pod Pragą: opanowana przez nich Warszawa została. Mszcząc się za klęskę jakiéj w niéj doznał jeden z pierwszych generałów szwedzkich Wirtenberg, gdy wzięty do niewoli, w Zamościu życie zakończył: zaczęli warowne mury burzyć i rozwalać. Ich zemsta, pozbawiła charakteru fortecy Warszawę, a Stare-Miasto, ściśléj teraz zaczęło się łączyć z przedmieściami jak Krakowskiem i Nowem-Miastem.

Władysław IV wzniósł ojcu przed bramą Krakowską, przy głównym wjeździe do stolicy, na wysokiéj kolumnie z marmuru Chęcińskiego posąg, w stroju koronacyjnym z krzyżem a szablą dobytą w ręku. I posąg ten, metalowymi oczyma patrzał na krwawe dramata jakie się odgrywały i odgrywają z górą przez dwa wieki. Lud warszawski utrzymuje, że gdy ma być wojna, Zygmunt III podnosi w górę pałasz, gdy klęski, niedola i niewola, krzyż pochyla, jakby błogosławił nim nieszczęśliwe plemie.

Pomimo bliższego połączenia się pierwotnéj Warszawy z ozdobniejszemi przedmieściami, Rynek Starego-Miasta zawsze był sercem Warszawy, i tu się wszystkie większe odbywały uroczystości. Do najwspanialszych należał obchód Bożego Ciała. Cztery ołtarze wznoszono przy każdym jego rogu: wojsko polskie — stało w równych szeregach, a z Katedry (Ślgo Jana) rozpoczynała się wielka procesya, przy towarzyszeniu władz narodowych, cechów z chorągwiami, licznego grona duchowieństwa i zakonów, obywateli i ludu. Pyszny to był widok, kiedy celebrujący arcybiskup zwrócił się z Najświętszym Sakramentem a przy podniesieniu, masa kilkudziesięciu tysięcy narodu od razu padała na kolana wśród dymu kadzideł, pieśni pobożnéj, huku trąb i kotłów, gdy wojacy nasi broń prezentowali! Ta chwila miała tak majestatyczną i tak rzewną powagę, do głębi serca wnikającą, że kto raz ją widział, już do grobu nie zapomni.

Wkoło ratusza i na całym rynku wznosiły się kramy i stragany z wiktuałami wszelkiemi. W dawniejszych wiekach na jarmarki większe coroczne, zjeżdżali liczni kupcy ze Wschodu, jak Turcy i Persowie. Właśnie za panowania Zygmunta III, natłok był ich wielki, gdy gromada złoczyńców wznieciła w tych kramach pożar w celu łupieży bogatéj. Ogień szybko ogarnął drewniane budy, z nich dostał się do murowanych kamienic, przy braku środków ratunku. Spłonęło kilkanaście domów, na szczęście trzy połacie Rynku pozostały nietknięte, zachowawszy na swym obliczu pierwotny charakter starożytnego grodu. Klęska to odstraszyła na długie lata kupców Wschodu, którzy wówczas całe swoje mienie potracili.

Kramy i stragany pozostały zawsze w Rynku, który dla nich był miejscem uprzywilejowanem. Tu gniazdo i stolica główna słynnych przekupek warszawskich, zarówno z dzielności i odwagi jak wyprawnego języka. Pamięć téj dosadności wymowy i jéj potoku, przeszło w miejscowe przysłowie. (Wygadana lub wygadany jak przekupka warszawska.)

Od czasu przeniesienia stolicy do Warszawy, Zamek książęcy, a teraz królewski, przystrajał się i zdobił rok rocznie. Bona opuszczając Polskę na zawsze, z tego zamku ostatni raz wyjeżdżała do Włoch i obdarła jego ściany z drogich dywanów i gobelinów, którymi się dawniéj zdobiły. Zygmunt III zaczął siedzibę swoją przyozdabiać w rzeźby i obrazy, ale najwięcéj przyłożył się do jego świetności, nie tak zewnątrz jak wewnętrznie Stanisław August. Prawdziwie po królewsku na ozdobę jego łożył, a ulubiony Włoch malarz Bacciarelli, spełniał pomysły Poniatowskiego, jeżeli nie w duchu polskim i narodowym, to przynajmniéj w artystycznym.

Pokój jeden zdobiły portrety królów polskich od Mieczysława zacząwszy aż do Stanisława Augusta. W malowaniu ich trzymał się Bacciarelli téj przynajmniéj zasady, że przy pomocy króla zebrawszy z całego kraju przechowane najdawniejsze ich wizerunki, układał więcéj zbliżone do siebie, podług nich pierwszy szkic wykonywał, a następnie wyszukiwał u żyjącéj osoby, podobnego w rysach oblicza, i wówczas w martwe rysy wlewał wyraz życia. Podług tych portretów mamy odlewy metaliczne królów, które kazał Stanisław August wykonać. To też z nich jedyna została pamiątka, gdyż wizerunki Bacciarellego, wydarte ze ściany, poszły zbogacać zbiory szczęśliwego zwycięzcy!

Sale zdobiły olejne obrazy większych rozmiarów, przedstawiające znakomitsze wypadki historyczne z dziejów narodowych, a zarazem marmurowe popiersia najznakomitszych pisarzy polskich tak dawnych jak zakresu Stanisława Augusta.

Plafony sufitowe i nadedrzwia, miały olejne także utwory, wszystkie pędzla Barciarellego, w których allegoryczne postacie wyobraźni malarza, były portretowane ze słynnych piękności, a kochanek i stałych przyjaciółek króla Poniatowskiego.

Przy Zamku królewskim, Brama Krakowska najdłużéj przetrwała, bo cały czas istnienia Księstwa Warszawskiego i pierwsze lata Królestwa Kongresowego: zburzona bowiem została w 1818 roku. W niéj były obszerne mieszkania i sklepy, szczególniéj towarów perskich i tureckich, a ich właściciele zostawali w ciągłych ze Stambułem stosunkach. Tu był także główny skład pasów polskich z fabryki Kobyłki, wioski niedaleko Warszawy, które w wyrobie doskonałym mogły walczyć z Łucka i ze Wschodu przywożonymi.

Ze zburzeniem bramy pomienionéj, nastąpiło i rozebranie licznych kamienic ściśnionych z sobą, i teraz otworzył się plac przed zamkiem obszerny, odsłaniający gmach ten w całości.

Sziedziba ta dawna Królestwa zyskała na widoku, ale nawet śladu wewnątrz nie tak dawnéj jeszcze świetności przechować nie mogła: Sala tronowa, pustkowie zarówno jak Sala poselska. Żaden obraz ani rzeźby ruchome nie pozostały: wydarto plafony i malowidła po nad drzwiami — pozostały nagie ściany. Znikły wszystkie pamiątki historyczne, tylko jedna a ciekawa pozostała.

W dniu 4 Listopada 1794 roku, kiedy Suworów zdobył Pragę i rzeź straszną rozpoczął, kazał z ciężkich dział

dać ognia do Warszawy, i kula dwunasto-funtowa uderzyła w mur przy oknie zamkowem od Wisły, téj komnaty, w któréj Stanisław August, snem spokojnym, królewskim spoczywał, nie troszcząc się o losy swoich poddanych.

Zatrzęsły się ściany i król się zbudził; ale jakżeż się przeraził, kiedy ujrzał w oknie postać przejrzystą niewiasty, jak groźne spojrzenie wlepiwszy w jego oblicze, jedną ręką wskazywała mu pożar całéj Pragi a drugą groziła, jakby zapowiadając bliską karę Bożą!

Stanisław August krzyknął przeraźliwie i padł zemdlały; dotąd pomiędzy starcami miasta krąży wieść, że to był duch rodziny Poniatowskich, zwany Moiną, a pokazywał się tylko w razie mającego nastąpić wielkiego nieszczęścia w tym domu.

Pod Pułtawą pokazała się ona jego ojcu, a książę Józef Poniatowski widział ją w wigilię bitwy pod Lipskiem 1813 roku. Dla tego wyjechał na pole walki blady i smutny — i skończył po bohatersku dnia tego życie w nurtach Elstery.

PAŁAC I FOLWARK.

Obrazy naszych czasów

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Margocki, który wszelkiego rodzaju sprawy umiał prowadzić z niezaprzeczonym talentem, a przyjaciele nawet często go uniwersalnym zwali człowiekiem — zarysował sobie zawczasu plan kampanii, któréj celem było zdobycie serca panny Zofii.

Rachował on wiele na olśnienie dzieweczki osobistemi przymioty swojemi – ale ubocznych pomocniczych środków nie chciał zaniedbywać. Wiedział że dziecinna jakaś miłostka istniała między Zosią a Julianem, ale przez ks. Wikarego był uwiadomiony, iż młody medyk wystygły był i jakby się chciał wycofać. Należało go zupełnie od panny oderwać i przekonać ją, że na miłość nie zasługiwał. Margocki ku temu miał już środek napięty.

Hrabina, która potrzebowała towarzystwa, muzyki, rozmowy, roztargnienia, a sama sobie zostawiona śmiertelnie się nudziła, woziła z sobą zawsze albo jakiegoś doktora, albo fortepianistkę lub jakąś towarzyszkę. Od lat dwóch w niezmiernych u niéj łaskach była Włoszka, rodem z Mediolanu, panna Carita Selvi; osoba piękna bardzo, muzykalna wielce, śpiewająca dosyć mile, grająca na fortepianie z wielką wprawą i uczuciem. O przeszłości jéj hrabina wiedziała tylko tyle ile ona sama opowiadała. Przez jakiś czas występowała pono na scenie jednego z paryzkich teatrów, potém dawała lekcye w Paryżu. Hrabina naprzód brała ją do grania na cztéry ręce, potém podobawszy sobie, zatrzymała stale i można powiedzieć, że w niéj zakochaną była.

Signora Carita Selvi mogła się w istocie podobać, powierzchowność miała śliczną... typ w niéj włoski, południowy nie z tym swym ogniem wybuchającym gwałtownie wyStępował, który często raczéj przestrasza niż pociąga, ale jakby mgłą okryty, złagodzony, łzawy, cały w sobie zamknięty. Prześliczne jéj nadewszystko oczy czarne, z pod długich rzęs patrzały, patrzały coś mówiąc tak nakazująco, tak tajemniczo, tak otumaniająco iż ich potędze oprzeć się nie było podobna. Wzrokowi towarzyszył uśmiech łagodny, smętny, i wyraz twarzyczki melancholijny i namiętny razem.

Coś tajemniczego, skrytego było w niéj całéj, w postaci, chodzie, uśmiechu, mowie, wzroku... jakby w przeszłości niedojrzanéj pogrzebała coś strasznego, co uśmiechem jak mogiłę kwiatami trzeba było przysłonić. Carita nie była nigdy ani wesołą bardzo, ani nazbyt ożywioną, z nowymi znajomymi dziecinnie bojaźliwą, ale gdy raz strach ten przezwyciężyła przylgnąć umiała, przytulić się, jakby szukała opieki i obrony... Z łatwowiernością dziecięcia potém i naiwnością dziecinną zabierała sobie ludzi i pętała ich tém że się do nich przywiązywała, że im zdawała się ufać bez granic.

Trudno zresztą określić wrażenie jakie Włoszka czyniła — to pewna że mężczyzni na zabój się kochali — a ona — niby wszystkim nie broniła, niby sprzyjała serdecznie każdemu, uśmiechała się, oczyma wabiła a mimo to... pewnych granic przekroczyć nie dawała. W roku przeszłym młody hrabia rozkochał się był w niéj śmiertelnie, lecz po pańsku. Zdawało mu się że panienka, muzyczka jakaś, aktorka, będąca na żołdzie matki jego, łatwą będzie dlań pastwą, rzucił się tedy ku niéj po szalonemu... Carita pozwoliła mu rozpocząć romans... nie unikała wcale, nie dziczyła się bynajmniéj, dopuściła go do napisania listu, na list odpowiedziała nader rozsądnie... nie zerwała grzecznych stosunków, wodziła go całe lato, ale z taką sztuką unikała (nie dając tego poznać) wszelkiego niebezpiecznego spotkania iż hrabia sam z pełna nie wiedział jak mu się — wyśliznęła...

Margocki nie równie zręczniejszy od hrabiego, a mający to za sobą że mógł poddać myśl o małżeństwie, potajemnie szalał dla niéj, wzdychał, chwytał wszelkie możliwe środki spotkania się sam na sam, intrygował, straszył, desperował, listy pisał i tak samo wyszedł jak hrabia...

W tém wszystkiem najdziwniejszém było, iż Carita zdawała się mieć upodobanie w prowadzeniu takich zakulisowych intryżek, i nie tylko ich nie unikała, ale podsycała oczyma, uśmiechem, wielce dwuznacznemi słówkami. Całą jéj obroną było, że zdawała się nie wierzyć w prawdziwość

gorących uczuć, jakie jéj okazywano — i brała je za grzeczne żarty, za galanteryę bez konsekwencyi.

Morgocki straciwszy dużo czasu na próżne czułości dla pięknéj Carity, która była tak naiwną że się hrabinie spowiadała z nich, śmiesząc ją powieściami temi — wpadł teraz na myśl dać jéj na łup Juliana...

Zaraz drugiego dnia, gdy hrabina listy pisała w swoim gabinecie, a Carita biegała od niechcenia po fortepianie, probując czy był dobrze nastrojony, zbliżył się do niéj z grzecznym uśmiechem, oparł na Erardzie i z cicha począł rozmowę.

„Znowu tedy wróciłaś pani na większą mękę naszą!“ rzekł z westchnieniem, „jeszcześmy nie odboleli tych ciosów, które jéj oczy nam zadały... przeszłego roku...“

„Jakto — my?“ spytała.

„Wszakże kto miał szczęście zbliżyć się do pani, każdy się w niéj śmiertelnie zakochać musiał.“

„Sądzisz pan?“

„Jestem pewny, młody hrabia szalał, ja waryowałem, doktor Sz... odchorował... posądzam nawet ks. Wikarego że z miłości pożółkł tak...“

Uśmiechnęła się i poczynając tryl — szepnęła:

„Jaki pan jesteś złośliwy!“

„Ja! ja jestem sercem i dobrocią samą.“

„A żartujesz pan sobie ze mnie.“

„Czyżbym śmiał!..“

Milczenie.

„Mam do pani jednę prośbę...“

„Cóż takiego?“ — Poczęła passaż sekstami.

„Będzie tu pewnie dziś lub jutro młody człowiek... przyszły doktor... ubogi chłopak, młody i ładny... ale nadzwyczaj zimny... obojętny, wystygły... Wszyscy powiadają, że nietylko w życiu się swojém nie kochał, ale nie może kochać się nigdy. — Sprobuj pani na nim ślicznych oczu swoich... Ja — przyznaję się zrobiłem zakład gruby, że pani mu głowę zawrócisz... Zawróć mu ją pani.“

Podniosła czarne oczy i patrzała długo na starego cynika, patrzała tak że się aż zmięszał, bo w tém spojrzeniu był smutek, politowanie i potęga niezmierna.

„Głowę zawrócić?“ rzekła, „O! to nie trudno, bo ona u was panowie, kręci się łatwo — ale serce wyszukać i niem owładnąć?“

„Ja jestem tego przekonania, że się głowa zawraca gdy się serce opanuje...“ rzekł Margocki.

„A! nie! u panów miłość wchodzi przez głowę i często do piersi trafić nie może, a szukając serca znajduje pustkę.“

Zaczęła grać głośno, Margocki nie ustępował.

„Zrób pani doświadczenie na młodym człowieku...“ dodał śmiejąc się, „bądź co bądź — da mu to zawsze chwilkę szczęścia lub marzenia. Więc choć spiskuję przeciw niemu, nie wiele grzeszę. Przy tém, wie pani co — medyk, młody, piękny, ma nadzieję świetnéj przyszłości, jest wolny... któż wie!... mógłby...“ (Zatrzymał się.)

„Ożenić się?“ spytała naiwnie z uśmiechem. „Czy pan sądzisz że ja tak za mąż wyjść pragnę?“

Margocki począł, spuściwszy oczy, bębnić palcami po dece fortepiana. „No — alboż — nie?“

„Nie — to smutna rzecz pójść za mąż. La pièce est finie, le rideau est tirés... et adieu l'espérance... Nie... nie! ja nie wyjdę za mąż. C'est triste! triste! triste!“

„Nawet kochając?“ spytał Margocki.

„Tém bardziéj!“ pokręciła główką — „miłość jest ślicznèm marzeniem, a małżeństwo rzeczywistością, po co się budzić, gdy się śni o szczęściu...“

„Ja wracam do p. Juliana.“

„A! ma imię Julian? Giuglio, ładne imię...“

Popatrzała śmiejąc się na łysinę Margockiego zręcznie na pół tupecikiem przysłonioną.

Plenipotent podniósł się, westchnął mocno, Włoszka roześmiała się, wstała od fortepianu i poszła do hrabinéj. — Margocki był pewien, że bardzo zręcznie rzucił zapałkę na prochy.

Hrabia, rzekł w duchu, urażony tego roku będzie się trzymał zdala aby ją ukarać za to, że go ocenić nie umiała, ja rezygnuję, abdykuję i zwracam się ku pannie Zofii — pozostaje pannie Caricie Julian... a że ona nie wytrzyma by oczyma kogoś nie paliła... padnie ofiarą.. Zatarł ręce.

W kilka dni hrabina kazała Margockiemu prosić na herbatę wszystkich z folwarku i z probostwa.

Dla wielu co się wymówić od tych odwiedzin nie mogli, było to straszne utrapienie. Naprzód ks. Kanonik do nowéj sutanny i urzędowego stroju nie był nawykły i chodził w nim jak w pożyczanym, a towarzystwo pałacowe nie było mu też do serca. Siostra jego, choć bardzo by mogła w najwykwintniejszym salonie znaleść się wedle jego obyczajów, bo odebrała wychowanie bardzo świetne i świat ten nie był jéj obcy — nie pokazywała się od dawna między ludźmi, nie mając się ani w co ubrać, ani humoru swobodą wymaganiom towarzyskim odpowiedzieć. Ona więc po prostu podziękowała za zaszczyt i kazała przeprosić. Julian musiał pójść, a choć jego garderoba w dość studenckim była stanie, jakoś ją z biedą potrafił dopełnić. Krawat i kamizelkę matka własnemi rękami odnowiła i wyprasowała.

Na folwarku panna Klara była niesłychanie zajęta sobą i Zosią. Miała trzy suknie jedwabne, a wszystkie okazały się zleżałe i nie świeże; potém Zosia nie chciała się tak ubrać jak ona życzyła. Ztąd spór żwawy... patetyczne wystąpy, a ostatecznie zostało dziewcze przy białéj sukience i złotéj bransolety, którą miało od ojca, nie włożyło... P. Ostójski kłopot miał z białemi rękawiczkami. P. Klara utrzymywała że żadnych innych włożyć nie podobna bez uchybienia domowi i okazania nieumiejętności znalezienia się — a jedyne ex-białe jakie w szufladzie się znalazły jeszcze z zaprzeszłorocznych zapust, były i poprute i zbrukane niegodziwie. Spadł tedy na pannę Klarę obowiązek przywrócenia im pierwotnéj fizyognomii — co z lewą dosyć szczęśliwie się udało, prawa zaś do życia nowego wskrzeszoną być nie mogła. Żywy umysł p. Klary wskazał Ostójskiemu sposób przyzwoity ukrycia tego defektu, zaleciła mu ażeby na lewą rękę włożył rękawiczkę, a w prawéj trzymał drugą, któréj kalectwa nikt w ten sposób dojrzeć nie mógł. Było to nawet wedle panny Klary, bardzo z szykiem, jedną rękawiczkę trzymać tak podartą, okazując pe-

'ne lekceważenie dobrego tonu — dla wyrobów rękawicz-iczych i tego tam talara głupiego który się za nie płacił.

O godzinie naznaczonéj Ostójski, panna Klara i Zosia iedli do poczwórnego kocza, boć piechotą choć blizko iść ie wypadało. Woźnicy wydano ze składu nowy kapelusz białe perkalowe rękawiczki... ruszono.

Ks. Kanonik z zapasowym parasolem niebieskim szedł 'eszo, Julian wziął laseczkę tylko... ks. Wikary ich wy-rzedził.

Herbata podaną być miała na ganku od ogrodu i par-u, gdzie już hrabina siedziała w krześle z lornetką nie-dstępną, dzierzgając jakąś Cluny, ubrana przepysznie suknię jedwabną koloru Bismarckowskiego z czarnemi oronkami.



Brama eremu Kamedułów w Pożajściu.

(Wilija i jéj brzegi.)

'rzy niéj iękna Ca-ita, która 'awsze cho-ziła czar-o — wie-ziała że jéj tém było o twarzy... zczebiota-a dosyć we-oło. Wi-kary trochę opodal w owéj su-kience, w asie czar-ym, prze-glądał ja-kąś książkę, iekiedy mięszając się do roz-mowy. Mar-gocki cho-dził po gan-ku gryząc w ustach gałązkę, naostatek młody hrabia w stroju rannym, dosyć poufałym, nogi sparłszy na stołeczku i skrzy-żowawszy dla wygody tak że wyższe kolano na równéj z brodą było linii, palił sobie cygaro. Jeden palec swobodnéj ręki założony miał bardzo elegancko za wykrojony rękaw ka-mizelki.

W takim rozkładzie zastało towarzystwo pałacowe przy-bycie panny Klary, Zosi i Ostójskiego, który posłusznie rę-kawiczkę podartą trzymał razem z kapeluszem... Hrabina nieco się poruszyła na fotelu nie wstając, młody hrabia rzucił cygaro i powoli dobył się z głębin krzesełka, Wikary powstał, Margocki pospieszył gościom towarzyszyć. Hrabina pilnie przez lornetkę naprzód poczęła się przypatrywać Zosi, na którą oczy Carity i hrabiego były też zwrócone...

Dzieweczka zaledwie trochę żywszym niż zwykle okryta rumieńcem, wcale nie zmięszana, swobodna, przywitała się grzecznie... Panna Klara była poruszona „do głębin duszy“ jak późniéj mówiła. — Po pierwszych kilku słowach, gdy siadać już miano, wszedł Kanonik i Julian. Hrabina przez wierność zasadom wstała na powitanie duchownego i chciała go nawet pocałować w ramię, do czego jednak nie przyszło. Uśmiechem potém przyjęła bladego Julka... i... wszyscy miejsca zajęli. Carita nie spuściła ani na chwilę z oka mło-dzieńca, który jéj był zapowiedziany jako pièce de reci-stance, zdawała się z głęboką uwagą badać z twarzy i po-stawy czém i kim on być mógł. Zapatrzyła się nawet tak bardzo iż Margocki jéj szepnął:

„Zgubio-ny jest, a ja zakład wy-grałem.“

Julian wszakże o-czów tych zrazu nie postrzegł, był nieco zmięszany... przyglądał się hrabinéj i jako me-dyk mimo-wolnie my-ślał o tem-peramencie jaki po-wierzchow-ność zdra-dzała. Nie-rychło do-piero oczy podniósłszy spotkał wej-rzenie Wło-szki i — olśniony widocznie zapatrzył się w nią — typ był dlań nowy.

Zosia jak w pierwszéj chwili nie okazała najmniejszéj trwogi, tak też pozostała panią siebie do ostatka. Na pan-nie Klarze znać było przejęcie ważnością tego uroczystego aktu i obawę aby siostrzenica nie strzeliła umyślnego bąka.

Zbliżyła się do Zosi Carita i bardzo uprzejmie starała się ją zabawić. Młody też hrabia, który miał wzrok równie słaby jak matka, szkiełko aż wbił w oko by się lepiéj Zosi przypatrzeć.

Nawykły po miastach i po salonach, do przywiędłych nieco lub sztuką odświeżonych twarzy, zachwycony był uro-kiem téj prawdziwéj młodości, téj wiosenki wesołéj, niewin-néj, która błyszczała w oczach dziewczęcia.

(C. d. n.)

Z PODRÓŻY

przez

J. Gordona.

V.

(Patrz Nr. 8.)

Jak pszczółka topiąc żądło i życie z niem grzebie,
Tak ja za myślą duszę utopiłem w niebie.

Powróciwszy z przechadzki do domu, zastałem na stoliku list pod moim adresem. Łamię pieczątkę i czytam:

„Góralu! Jeżeliś jeszcze karku nie skręcił, wywracając w dół koziołka, to odpisuj jak najprędzéj, czy chcesz mi towarzyszyć do Włoch. Czekam na Ciebie, a w najgorszym razie na list, w monasterze Śgo Bernarda.“ Twój S***

Tak więc mój szanowny przyjaciel, z którym rozstałem się był w Genewie przed tygodniem, stał już po nad moją głową o kilka tysięcy stóp wysokości, i o włos nie rozmawiał z błogosławionymi w niebiosach, gdy ja, ziemski żak, pełzałem jeszcze na nizinach.

Daléj więc w góry! Młodości... orla twych lotów potęga!

Dojeżdżam tedy do Martigni, położonego u podnóża wielkich Alp, a z tamtąd puszczam się piechotą sam jeden, bez przygotowania, mając tylko mapę przy sobie za cały drogoskaz; puszczam się pomiędzy przepaście i gardziele skalne, gdzie tylko sępy nocują, gdzie tylko odważni górale koczują.

Gdzie się obrócisz, góry! gdzie spojrzysz, góry! Wszędzie góry, szpice, piki, te z lesistą czarną czupryną, tamte po nad niemi porozrywane, odarte i nagie jak szkielety; a tamte, co najwyżéj się piętrzą, w białe peruki i śnieżne szaty niewinności przybrane, choć w rzeczywistości są bardzo zdradzieckie.

Niebo zaś wśród tych gór i wąwozów, w wielu miejscach małe, wygląda jak błękitny fular zawieszony na stropach.

A wszystkie wiją się, snują w rozmaite zygzaki, esy, przeplatane zapadłemi dolinami, na których ruszają się drobni ludzie, małe Liliputki, podobne do dwónożnych robaczków, lub gdzie spadają z gradem kamieni rozhukane potoki.

Żegnam was rozległe płaszczyzny, łąki i równiny, a najbardziéj żegnam ciebie droga, ukochana niwo o złotych kłosach pszenicy, na któréj niegdyś dla mnie w piękne wiosny ranki dziki zaturkał gołąbek i zadzwonił skowronek.

Przedemną nowy świat! oryginalny krajobraz, sterczący poważnie w swych najdziwaczniejszych kształtach, a w całkiem świeżym kolorycie; za mną zaś wspomnienia — tylko wspomnienia.

Postępujmy naprzód śmiało w tę zaczarowaną krainę! Wszak w tych szczelinach muszą być ukryte kuźnie Cyklopów, a w owych kępach leśnych przesiadują Fauny!

A oto i droga na urwiskach skał wykuta, nad którą pracowali nie ludzie, ale chyba Tytani; a z jednéj jéj strony bezdenna przepaść, czarna, jak otchłań piekielna. Rozbijające się w niéj z rykiem spienione wody przygrywają coś na dziko-smętną nutę, niby potężny organ na cmentarzu strat ludzkich; a cała przyroda stoi uroczysta, jak kościół!

Zaledwieś wyszedł na grzbiet pierwszéj góry, ruchome chmurki kąpią się w powietrzu, tuląc się do skał u nóg twoich. Przez ich rozpory widzisz znowu na dole świat roślinności, chaty i młyny nad ruczajem, i pasterkę ze stadem kóz, i kościołek na błoniu, którego dzwon roznosi echo pomiędzy fałdy górskie.

Nareszcie i to tracisz z oczu, a natomiast przedstawiają ci się różnorodne, powykrzywiane i zębate, nożycami natury wystrzygane masy, jakoby niezmierne skamieniałe księgi historyi tworzenia się globu.

Cienkie warstwy ciemne, regularnie ułożone jedna na drugiéj, składają tom jéj wieczystéj historyi. Na nim, jak na fundamencie, jak na zasadzie zasad, piętrzą się dalsze tomy brunatnéj, czerwonawéj, szaréj barwy — cała biblioteka dla geologów.

A na każdéj księdze wyryty wulkaniczny napis: Bóg rzekł „stań się!“ i stało się.

A wszystkie razem składają olbrzymią postać pierworodnych dzieci potopu, co pod niebo wystrzeliły, ukazując nam, strudzonym tą ziemską pielgrzymką, ostatni cel wędrówki.

Ileż to nieznanych już dzisiaj stworzeń organicznych, ile ludów u ich stóp żyło, wymierało i zupełnie nikło, nie zostawiwszy śladów swojego istnienia?...

O! te drzemiące skały, to ocean wrażeń... a ile takich wrażeń, tyle krynicznych strumieni dla orzeźwienia ducha znękanego cisnącą go skorupą.

Wśród takich to skał, przypatrujących się wzajemnie sobie w wiekuistém milczeniu, spotykam górala z osiełkiem, który poleca mi swego długouszatego. Siadam więc na niego i pnę się coraz wyżéj po wężykowatym szlaku.

„Dla czego“ zapytałem, „owe zwierzątko Jezusowe trzyma się samego brzegu drogi, krańca przepaści, mogąc maszerować środkiem?“

„Ba! ma ono swój rozum. Będąc zwykle obładowane jukami, które przenosi do Włoch, boi się, aby trąceniem o przeciwną skałę nie straciło równowagi i żeby tam na dnie nie zrobił się z niego placek.“

Przymrużyłem oczy.

„Poczciwy osiełek boży! ale czy nie oberwie się on przypadkiem ze mną i czy nie polecimy oba do licha... na ciasto do owego placka.“

„O! to się bardzo rzadko trafia. Osieł zawsze stąpa po jednem miejscu.“

Spojrzałem na mówcę z ukosa, nie wiele mi dodawał otuchy.

„A dla czego on patrzy w przepaść z wyciągniętą ku niéj szyją, zamiast pilnować drogi?“

„Bo to ośli zwyczaj, proszę pana. Jego bystry wzrok potrzebuje przestrzeni... to nie tak jak my ludzie!“

Nie upłynęła minuta, gdy mój alpejski pegaz chciał wyraźnie zażartować ze mnie: pochylił się i zaczął łbem czegoś szukać w rozpadlinach ściany przepaścistéj.

Zeskoczyłem na drugą stronę z przerażenia.

„Voilà un farceur!“

„To nic... to nic!... on tylko zwietrzył oset, który bardzo lubi...“

„A niech go tam!...“

I postąpiwszy naprzód dałem sobie słowo, że póki życia nie będę dowierzał zwyczajom i obyczajom osłów, żadnéj narodowości.

„I to tak pan nie lęka się biedz samotnie w góry?“ wołał oślarz za mną.

„Jak widzisz, mój przyjacielu!“

„A pańskie rzeczy?“

„Mam z sobą świeży kołnierzyk w pularesie.“

„Bon courage!!“

„Adieu, mon ami!“

Miał słuszność ów przewodnik życzyć mi dobrego kurażu, lecz ja przy całéj młodości, przy odwadze i chęci doświadczenia nieznanych wrażeń i miłych zawsze niespodzianek, byłem nieroztropnym, więcéj jak nieroztropnym, puszczając się o własnych siłach w nową dla mnie okolicę zakrętów alpejskich.

Powietrze stawało się coraz chłodniejsze; tam i owdzie gnuśne pokłady śniegu zwiastowały już krainę lodowatą. Przed kilku godzinami jeszcze była pora jesienna, pokryta zielonością ziemia; teraz nastąpiła zima ze swoją nagłą zmianą temperatury. Za każdym przystankiem, gdy obcierałem pot utrudzenia z czoła, ostry wiatr przenikał mię na wskróś.

Bory sosien i buków, pastwiska, i wioski rozrzucone jak gniazda orle na skałach, wszystko zostało podemną!

Nareszcie wieczór się zbliżył, i widziałem tylko w pochodzie fantastyczną w swych gustach przyrodę, która wraz z niebem szarą się płachtą okryła.

Znikła mi droga z przed oczu, począłem grzęznąć i zapadać się w śniegu, i słyszałem tylko szum z warkiem toczącego się po kamieniach opodal w głębinie strumienia.

Szaro, szaro, i wszędzie szaro! Może przyjdzie zginąć w górach!... i być pogrzebanym — bez księdza, za całun mając lawinę. Ale przynajmniéj umrę poetycznie. Alpy moim grobowcem!

Cokolwiek bądź, umierać jeszcze zawcześnie! Trwoga i zwątpienie zaczęły się cisnąć powoli do duszy. Krzyknąłem razy kilka wielkim głosem, w nadziei, że mię kto usłyszy i przyjdzie z pomocą.

Próżne wołanie! głos tonął w puszystém śniegu.

Spocząwszy trochę, klekocząc zębami z przeziębienia, wytężam ostatnie siły i kierując się brzegiem wąwozu podążam na chybi trafi. Po półgodzinnem marszu słyszę wreszcie psa szczekanie.

I westchnąłem na myśl, że jestem w bliskości osady ludzkiéj, ciężar spadł z serca, spocząłem znowu chwilkę i nuż przedłużać wśród nocy ciężkie wniebowstąpienie!

Nie zadługo ujrzałem parę mgłych światełek i — ocalałem.

Potrzeba ciepłego pokarmu i ciepłego łóżka czuć coraz bardziéj mi się dawała. Chwiejącym krokiem wszedłem do wsi Śgo Piotra (St. Pierre) o ile sobie przypominam, gdzie już wszelka droga się kończy, a zkąd prowadzi do Śgo. Bernarda jeno ścieżka przyczepiona jak tasiemka do gór i pagórków. Tak więc zrobiwszy tego dnia z Martigni cztery mile na nogach, szukałem porządnego domu na spoczynek

Przy drzwiach jednego z takich siedział na tylnych łapach wierniś, zapewne ten sam co mię z nieszczęścia wybawił, a który powstał na me powitanie, spojrzał mi w twarz lśniącemi oczyma i kiwając ogonem wprowadził do gospody.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“

„Na wieki wieków!“

I domowa czeladka otoczyła mię dokoła.

„Pan jesteś katolik?“ zapytał staruszek.

„Polak i katolik rzymski“, odpowiedziałem.

„Katolik! katolik! katolik!“ wołały dzieci radosnie; a uprzejma gosposia, wierna przodków wierze arcy-katolickiego kantonu Valais, postawiła mi krzesło przy szerokim kominie, do którego przyrzuciła na ognisko szczepek.

Nad kominem u sufitu wisiały szynki, kiełbasy, dziczyzna i różne wędliny. Spojrzałem tam mimowolnie. Domyślna gospodyni zastawiła téż kolacyę, racząc wszystkiem co miała najlepszego w chałupie.

Tymczasem jéj córka pobiegła, aby przygotować dla mnie pokoik. Spieszyła się, jak mówiła, z powrotem, żeby mieć czas pomówienia z gościem.

Matka jéj była kretenką nieboga, to jest miała na szyi ogromny narost, któremu to defektowi podlega znaczna część mieszkańców rodzinnego jéj kantonu. Powiedziała, że gdy czternaście lat miała, jeszcze nie można było poznać czy zostanie kretenką.

„Proszę mi zawołać doświadczonego przewodnika!“ rzekłem w końcu do dziewczyny.

I wysokiego wzrostu, wysmukły góral zjawił się za chwilę.

„Jutro do monasteru!“ zawołałem. „Zechciejcie wstąpić po mnie koło południa.“

Uśmiechnął się trochę ironicznie góral i wytłumaczył mi, że aby się nie zapadać co moment w śniegu, trzeba wstać raniéj, żeby podróż odbyć o mrozie nim słońce zejdzie. Objaśnił przytém, iż słońce w śnieżnicach alpejskich szkodzi oczom i wnet opala do czarności delikatną twarz cudzoziemca.

„Trzeba ztąd wyruszyć“, dodał, „najpóźniéj o godzinie czwartéj po północy, aby zrobić dwie mile drogi.“

„Tylko, rozumie się, piechotą! tylko bez żadnego osła ani muła!“

Góral znowu się ironicznie uśmiechnął.

„Daj Boże“, rzecze na odchodném, „aby nie było wiatru i żebyśmy mogli sami się tam przekopać. W złą porę pan się wybrałeś!“

Snać był to przewodnik punktualny, jak zegar budziciel, gdyż nazajutrz o godzinie czwartéj stał już mi nad głową potrząsając kamaszami, przeznaczonymi do nóg moich.

Jakkolwiek mocno zakatarzony, ubrałem się na prędce,

zarzuciłem na się paletot kauczukowy, na podwórcu wziąłem z rąk przewodnika tykę okutą na końcu żelazem, i puściliśmy się w drogę. Pogoda sprzyjała.

Na ulicy stało dwóch obrzydłych kretenów, rozmawiających z młodym chłopcem.

„C'est un Anglais sans doute!“ krzyknął i przyłączył się do nas — z amatorstwa.

Opowiadali oni mijając St. Pierre, jakby o jakiem podaniu homerycznem, że około téj wsi armia francuzka zrobiła swój ostatni etap, nim przeprawiła się z Napoleonem na górę Śgo Bernarda, po za którą oczekiwały ją płaszczyzny Marengo. Byliby nawet pokazali miejsca, gdzie obozowała piechota, konnica, i gdzie artylerya, któréj żołnierze przenosili działa zdjęte z lawety i przyczepione do drągów na własnych ramionach, luzując się co kilkadziesiąt kroków; lecz miejsca te pogrążały się jeszcze w ciemności.

Ów świat górzysty po nocnem wypoczynku wywarł na mnie z nadejściem bladéj jutrzenki wrażenie dziwnie uroczyste i błogie, uczucie wewnętrznego pokoju, jakiejś niewymownéj pociechy. Nigdy przedtém nie czułem się tak bliskim Boga! Jego wszechmoc napełniła me jestestwo... duch mój nieśmiertelny rozwinął skrzydła.

Wprawdzie wyobraźnia wystawiała sobie poprzednio owe góry wspanialszemi jeszcze niż są w istocie, zkąd możnaby sięgnąć po którą gwiazdę; lecz jest to skutek nienasyconéj żądzy człowieka; a powtóre, że wszystkie przedmioty, skoro się na nie patrzy, maleją w obec nieskończoności przyrody.

W wyobraźni zaś przedstawiają się one oddzielnie, same przez się, w oderwaniu, i to im dodaje iluzoryczněj wielkości.

Pomimo to poglądałem niemy ze zdumieniem na owe dzieła stworzenia, na owe łańcuhy piętrzących się gór, których uląkł się Hannibal.

Proszę sobie wystawić coś nadzwyczajnego!... Naprzykład, że zwinęła się nagle zasłona i że naraz widzi się człowiek wśród ogromu rzeczy, wśród téj magicznéj sceny natury taki malutki, jak czarny punkcik zawieszony w powietrzu.

W istocie owa świetna panorama, gdzie tylko oko mogło dosięgnąć, składała się z mas ostrokończastych, jednych od drugich wyższych, otoczonych morzem lodów, a w których twórcza imaginacya znajdowała podobieństwo do różnych mytologicznych lub urojonych przez się postaci, do rodziny olbrzymów staréj ballady.

Młody przewodnik z amatorstwa urozmaicał nam ten dziki, a imponujący obraz martwéj przyrody, włażąc na wyżyny o kilkaset stóp wysokości i ześlizgując się szybko po równi pochyłéj, ciągnąc za sobą tykę służącą mu za podporę — jedynie dla popisania się ze swą gimnastyką.

Tak pnąc się po wąziutkiéj ścieżce, jak skoczki po linie, przybyliśmy na dolinę.

„Dom!“ zawołałem ucieszony — nie widząc już od dwóch godzin ludzkiéj zagrody.

„To tylko trupiarnia!“ odrzekł poważnie starszy z przewodników.

„Lecz kilka osób pokazuje się z trupiarni!“

„Są to właśnie ojcowie, co wyszli na przechadzkę z monasteru Śgo Bernarda. Czy się pan przyłączy do nich lub każe mi się doprowadzić do samego klasztoru?“

„Bóg zapłać mój bracie!“ rzekłem, wsuwając mu pięciofrankówkę do ręki, a sam zbliżyłem się do księży.

ECHO.

Bóg wielki ma echo na świecie!
Te gwiazdy na nieba błękicie,
Na łąkach zroszone to kwiecie,
To bożéj jest myśli odbicie,
To echo wcielone mądrości.

O wszystko ma echo na świecie!
Gdy wicher się gniewny rozdąsa,
Na morza kołysze się grzbiecie,
A morze w wichrowy takt pląsa,
To echo nawałnic wściekłości.

O wszystko ma echo na świecie!
Tam pali poranne się zorze,
Gra rosa na kwiatów bukiecie,
Tym ogniem lśnią fale w jeziorze;
To nieme jest echo światłości.

O wszystko ma echo na świecie!
I gwiazdy, robaczki i słońca,
I wichry i śniegów zamiecie,
Bo świat ten to harfa grająca
Wzajemnym odgłosem miłości.

K. Brzozowski.

Historya o dwóch parach zakochanych i o połowie trzeciéj

podsłuchana i spisana przez

Józefa Narzymskiego i Władysława Sabowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Utracić tę, którą czuł przy swym boku, która serca jego nie zawiodła, która nie odwróciła oczu od niego do jakiegoś bogatego przybłędy, było to za wiele na siły Jana. Powiedział sobie, że choćby miał to życiem przypłacić, związku Julci ze Stanisławem nie dopuści, ażeby jednak mieć prawo mu przeszkodzić, musiał się upewnić czy posiada wzajemność Halinki.

Ztąd wynikło postanowienie bezzwłocznego wyznania

miłości. Odkładać bodaj na jutro, bodaj na następną godzinę nie było można. Jutro mogło już być za późno, za godzinę mogło nie być sposobności, która teraz była wyborną. Jan miał, jak to mówią, nóż na gardle. Zdecydował się szybko, najpoważniéjsi bowiem ludzie w podobnych okolicznościach przestają być kunktatorami, i Halinka usłyszała z ust jego to, o czém wiedziała już oddawna, a co jednak usłyszeć było jéj błogo i przyjemnie.

Usłyszała, lekkim uściskiem dłoni i cichem słowem odpowiedziała Janowi, żywy rumieniec i uśmiech znikł z jéj twarzy i stała się w téj chwili tak poważną i marzącą prawie jak Julcia.

Tymczasem pierwsza para uznała za stósowne wrócić do kopca. Gdy się wymijali, Jan rzucił Stanisławowi złowrogie spojrzenie, ale go Kliński zagadany z Julcią o Halince nie widział. Kochankowie zawrócili podobnież i znowu całe towarzystwo znalazło się na kopcu, gdzie właśnie dano hasło ukończenia na dziś roboty.

Ignacy trzymał w ręku świeżo wykopany kawał bronzu, Julcia zbliżyła się do niego. Jan puścił również Halinkę i poszedł do proboszcza z którym następną z cicha rozpoczął rozmowę:

„Księże proboszczu, chcesz mi zrobić największą w życiu przysługę?...“

„Owszem, panie dobrodzieju, owszem... wszakto my księża od tego na świecie abyśmy wam największe robili przysługi, bo odpuszczali grzechy, których sobie nie żałujecie,“ odpowiedział śmiejąc się proboszcz.

„No, to, kochany księże, zaproś jutro do siebie na śniadanie archeologa i mnie...“

„Owszém, panie dobrodzieju, owszém... i pana Ignacego także...“

„Nie... przed Ignacym największa tajemnica...“

Ksiądz spojrzał na Jana zdziwiony.

„Jutro się wszystko wyjaśni,“ dodał Jan, „ale kochany księże, jeżeli pragniesz mojego szczęścia nie odmawiaj mi téj łaski.“

Proboszcz, jak się łatwo domyślić, przystał.

Kliński opuszczony przez Julcię zwrócił się do Halinki, którą Jan właśnie pozostawił samą i z nią powracał ku dworowi, a za niemi dźwigający świeże wykopaliska Ignacy szedł prowadząc pod rękę Julcię.

Czytelnik przypomina sobie, że i Julcia miała polecenie od matki w tym samym guście co Halinka, i Julcia więc zwróciła rozmowę na idącą przed niemi parę, i w zręcznéj rozmowie naprowadziła Ignacego na domysł, że Kliński zakochał się w Halince i że Halinka mu wzajemna.

Na tę wiadomość naturalnie, krew w żyłach Ignacego zawrzała. Przysiągł sobie, że archeolog dwudziestu czterech godzin nie przeżyje, ale wprzód nim przystąpił do kroków przygotowawczych w celu zgładzenia go ze świata, musiał się též upewnić czy jest kochanym i czy ma dla kogo wykonać swoje wojownicze plany.

Ignacy miał krew gorącą w żyłach i nie lubił namyślać się długo.

Nim jeszcze doszli do dworu w kilku krótkich wyrazach wyznał Julci, że ją kocha, i dowiedział się stanowczo, że jéj serce na to jego wyznanie zdolne było przychylnym oddźwięknąć wyrazem.

Gdy wrócili do domu twarz Julci promieniała rumieńcem, a oczko jéj patrzyło nie tylko na świat obecny i znajdujących się w nim ludzi, ale nawet na nieme szczątki prawiecznéj przeszłości, w które dwór małowolski taki był bogaty, patrzyło takiem żywem i rozkosznem spojrzeniem, jak zwykłe spojrzenia Halinki.

XIII.

Jak tylko powrócono do dworu, pan Aureli zaciągnął zwykłą czwórkę do preferansa. Ignacy zamiast zanieść swój odłam bronzowy do buduarku, zaniósł go do pokoju, w którym się miała odbywać owa gra ulubiona dziedzicowi Małéjwoli i umieścił tam na stoliku, a potém parę razy opuszczał towarzystwo panien i przychodził przypatrywać się kartom.

Najwięcéj interesowały go karty Klińskiego. Gdyby był archeolog wpadł bez tylu ile mu życzył, pula nie zakończyłaby się nigdy.

Preferans, jak wiadomo, grany we czterech, jest tyle łagodnym dla swych wyznawców i adeptów, że im niekiedy dozwala na krótką chwilę wstać od stolika. Wolności téj używają czasami rozdający karty. Stanisław, który niebył bardzo zapalonym amatorem gry, lubił jéj używać częściéj od innych.

Zdarzyło się též, że wstał od stolika, poszedł do owego bronzowego wykopaliska i zaczął mu się przypatrywać.

Ignacy, jakby na to tylko czatował, zbliżył się także do kruszcowego zabytku i zagadnął Stanisława:

„Jak pan sądzisz... czy to zabytek z czasów pogańskich, czy z chrześciańskich.“

„Z chrześciańskich niezawodnie...“

„Niezawodnie, powiadasz pan,“ mówił Ignacy tłumiąc gniew, którym wrzał od chwili rozmowy z Julcią, niezawodnie...“

„Tak jest, panie...“

„A otóż ja powiadam, że to zabytek pogański...“

„Krzyż jednak jest znakiem niemylnym, a tu te dwa ramiona są wyraźnie szczątkiem krzyża...“

„Nie tak wyraźnie...“

„Ależ patrz pan... krzyż szedł w takim kierunku...“

To mówiąc Stanisław wskazał palcem rysunek krzyża, którego części brakowało.

„Więc pan twierdzisz, że ja się nie znam... że moje zdanie jest niedorzeczne.“

Kliński spojrzał na niego zdziwiony. Ton jakim mówił, chociaż mówił z cicha, zdradzał wyraźnie że szuka zaczepki.

„Nie twierdzę nic... ale...“

„Ale powiadasz pan że moje zdanie jest mylne aż do śmieszności... dobrze, panie...“

Pan Aureli, który równie jak inni gracze nic nie słyszał z téj rozmowy, zawezwał Stanisława do kart. Rad ze sposobności przerwania w tak niemiły tok wpadającéj rozmowy, Kliński ukłonił się Ignacemu i odszedł nie odpowiadając na jego słowa, wymawiając się tylko, że go wołają.

Ignacy odetchnął.

„No, zrobiłem swoje,“ powiedział sobie w duchu.

Był już spokojniejszy, ale się kręcił jeszcze po pokoju, a gdy major z kolei rozdał karty i był wolnym, trącił go lekko w ramię i poprosił na chwilę na stronę.

„Majorze,“ rzekł, jesteś starym żołnierzem i pojmujesz co to jest honor... wiesz że go się nie pozwala bezkarnie deptać lada komu...“

„To się rozumie, panie Ignacy.“

„A więc, proszę cię, majorze, o honorową przysługę.“

„Z największą chęcią... z kimże się strzelasz?...“

„Z panem Klińskim...“

„O co?...“ zawołał major zdziwiony.

„Powiedział mi w oczy prawie wyraźnie, że moje zdania o archeologii są śmieszne, niedorzeczne, głupie, a gdym chciał bronić moich przekonań odszedł odemnie nie słuchając...“

„A! to cokolwiek de grubis... nie spodziewałem się tego po dobrze wychowanym człowieku...“

„Ani ja, kochany majorze... otóż jutro wyzwij go na pojedynek i przyjdź do mnie... wszelką broń przyjmuję... czekam w Strzegowie... tylko tajemnica przed Janem i przed wszystkiemi.“

„Dobrze.“

Pan Aureli, którego ciągłe wstawanie graczy od stolików niepokoiło i gniewało, wezwał majora do stolika, a nawet zburczał go porządnie, że nie patrzy z czego je chleb, że służy dwom panom, preferansowi i mamonie.

Ta trawestacya ewangelii zgorszyła bardzo księdza proboszcza, ale wszystko się uspokoiło prędko i wkrótce w pokoju preferansowym słychać było tylko licytacyę:

„Pik, trefl, karo, kier,... bez atu... pas... pas...“

Ignacy powrócił do panien, starając się nie pokazać po sobie, że się krew w nim gotowała, i wkrótce rozmawiając z Julią zapomniał o zajściu które miało miejsce przed chwilą, i o krwawem spotkaniu, w którem miał wystąpić jutro ażeby bratu usunąć rywala.

W kilka godzin potém bracia Marmurki wyjeżdżali do Strzegowa i przez drogę nic nie mówili o tém, czém myśli obu przepełnione były.

Jan tak samo jak Ignacy miał na języku wyznania, że jest szczęśliwy, ale żeby się z tém zwierzyć każdy z nich sądził, że musi ostrzedz brata, że niebezpieczeństwo mu grozi. Ostrzegać wówczas gdy się wzięło na siebie uprzątnięcie tego niebezpieczeństwa byłoby to się chwalić z zamierzoną zaledwie braterską przysługą. Poczciwi ludzie nie chwalą się w ten sposób, a cóż dopiero kochający się bracia.

Panny także nic sobie nie mówiły o usłyszanych wyznaniach miłosnych. Każda z nich co do drugiéj była w błędzie, a błąd ten czynił drażliwem wyznania. Halinka miała w duszy żal do siostry, że jéj się nie zwierza, Julcia z takim samym żalem myślała o braku ufności Halinki. Nad tém wszystkiem górował zakaz matki, którego dobre córki łamać nie umieją, a że Halinka i Julcia były poczciwemi dziewczętami, to już, jak sądzę, nasze czytelniczki poznały.

(Dokończ. nast.)

WILIJA I JÉJ BRZEGI

przez

Konstant. hr. Tyszkiewicza.

(Drukarnia J. I. Kraszewskiego.)

Brama eremu Kamedułów w Pożajściu.

(Z ryciną.)

Do najpiękniejszych zabytków architektury na Litwie, należy prześliczny pokamedulski Kościół w Pożajściu, o milę od Kowna. Leży on na tak zwanéj górze Mons Pacis, wzniesiony w r. 1662. przez Krzysztofa Paca wielkiego kanclerza litewskiego. Znajdowały się tu piękne freski i ciekawe włoskie obrazy. Ściany całe powlekał czarny i czerwony marmur; kopułę, rzeźby i smakowne ozdoby. Miejsce to słynie na całéj Litwie z bardzo pięknego położenia i widoków.

Przy kościele jest brama, przedstawiona na naszéj rycinie, prowadząca w podwórzec lipami wysadzony, poprzedzający Foresterium. Rysunek przedstawia ją taką, jaką była, dopóki erem Kamedułów nie został po r. 1831. przerobiony na cerkiew prawosławną. Dzisiaj tak jak wszystko, tak i kościół Kamedułów z bramą, został częścią zniszczony, częścią przerobiony przez mongolskich cywilizatorów Litwy.

W albumie podróżnym hrabiego Tyszkiewicza znalazło się wiele rysunków, których umieścić w ciągu dzieła wydawca nie mógł, nie znalazłszy wspomnień o nich w rękopiśmie autora. Z téj przyczyny wydawca wybrał dwie tylko najgodniejsze wspomnienia t. j. Bramę eremu Kamedułów i kościół w Pożajściu i zamieścił je bez opisu w końcu dzieła.

Przy téj sposobności niech nam wolno będzie publicznie podziękować Szanownemu Wydawcy J. I. Kraszewskiemu, za łaskawy dar kilku rycin, jakiemi pismo nasze zasilić raczył.

X. X.

LISTY Z USTRONIA.

III.

Były czasy szczęśliwe — gdyśmy między sobą wszyscy w zgodzie pokoju żyli, mając jedno na myśli — obronić się od jawnych nieprzyjaciół narodowości naszéj i tych którzy nam zapowiedzieli a poprzysięgli zagładę. Naówczas, w owym błogim wieku złotym, nie pytaliśmy się jeden drugiego o przekonania religijne, o orthodoksyę, o doktryny polityczne, o gusta w literaturze... spotykaliśmy się i rozstawali z jedném pytaniem i życzeniem na ustach — jak stoimy ze sprawą naszą? czyśmy wszyscy wiernymi synami matki męczennicy, któréj wiernymi winniśmy zostać do grobu — usque ad finem. Szczęśliwi stokroć co umarli z przekonaniem iż tak zawsze będzie! Nam się dostało dożyć nowych odstępstw, skandalów i w imię najświętszych rzeczy świętokracko sianéj niezgody... Tak! smutek cięży na duszy, iż gdy się pióro weźmie w rękę, niepodobna o czém innem już pisać tylko o téj wielkiéj boleści. — Przeminie to — przeminie, — lecz blizna téj rany zostanie na karcie historyi naszéj na wieki, a stygmat na czołach wichrzycieli... Właśnie w chwili gdy bolejemy nad tém, wpada nam w rękę książeczka, wydana w Krakowie, w tym Krakowie który dziś uważają niektórzy za stolicę ultramontanów, w tym Krakowie którego Jagiellońską macierz obmówiono już że się Jezuitom zaprzedała — i przynosi nam pociechę. Jest to właśnie przemówienie Rektora Jagiellońskiéj Akademii do młodzieży, a w niem między innemi znajdujemy do sposobiących się do stanu duchownego te śliczne, godne tradycyi polskiéj wyrazy — „Miejcie na sercu, iż „cięższą, niż najjaskrawsza książka anti-religijna, wyrządza krzywdę „kościołowi owa tak nieszczęsna, a, niestety, tak nierzadka żarliwość „zaprawiona goryczą i żółcią. Miejcie na sercu Chrystusa, i tę w Jego „nauczaniu niebiańską słodycz i bez granic nadziemską dobroć. Pamiętajcie, że miłość jest wszechmocną potęgą, bo Bóg chrześciański „jest miłości Bogiem. Pod tym względem idźcie za pełną chwały „tradycyą duchowieństwa polskiego. Duchowieństwo polskie zawsze „tchnęło miłością ludzi i dla tego było zawsze obywatelskiem, nie było „kastą. Każdy kapłan polski czuł się być w głębi duszy obywatelem. „Więc też naród nasz szedł zawsze z duchowieństwem swojém ręka „w rękę, i nawzajem duchowieństwo podzielało po wszystkie czasy dole „całego narodu.“ Złote słowa! święte słowa... a ci co inaczéj chcą i inaczéj mówią, siewacze źli obcych doktryn, niech będą odepchnięci i pogardą skarani... Ale — dosyć, nie chcę mojego listu tą żółcią która z ran płynie zalewać, zwróćmy się ku weselszym widokom, od tego cuchnącego pobojowiska... Książek i książeczek dosyć leży na stole, lecz cóż tu wam wybrać, o czém byście nie wiedzieli już, i coby dla czytelników waszych nowém być mogło a zajęło ich w chwili gdy gorętsze rzeczy serca i umysły odrywają?? — Zapowiada się poważnych prac podostatkiem. Oto naprzód gramatyka porównawcza Sanskrytu ks. Malinowskiego, we Lwowie Prof. D. Urbańskiego Fizyka umiejętna, w Warszawie pisma historyczne, spuścizna po Jul. Bartoszewiczu, w Krakowie bibliografia Estreichera... Nie wymieniliśmy wszystkiego, a już to samo cośmy spisali powinno by przekonać, że nam i na polu prac surowszych nie zbywa na trudach pożytecznych. — Prof. Skobel, co było najpożądańszém, wydał w osobném odbiciu z Roczników Tow. Nauk. Krakowskiego swą znakomitą rozprawę o każeniu języka, którahy na jak najszersze rozpowszechnienie zasługiwała... po wszystkich redakcyach, wszystkim literatom którzy studiowali w uniwersytetach niemieckich rozesłaną być powinna. — Tu jeszcze pomiędzy poważnemi pismami pomieszczę genialnego naszego ekonomisty Józefa Supińskiego „Siedem wieczorów, Opowiadanie z życia społecznego, wydane nakładem stowarzyszenia przyjaciół oświaty ludowéj.“ Gdzieindziéj obszerniéj się o tém rozpiszę, tu dodam tylko że przy ślicznéj (nie powierzchownie ale treścią) książeczce téj stoi — Odezwa... a w téj odezwie czytamy: „Autor niniejszego dziełka mimo utraty zdrowia i wzroku zajmował się usilnie przez kilka lat ostatnich przejrzeniem wszystkich prac swoich.“ Prace te pragnie wydać p. Jan Welichowski i wzywa o pomoc, o spółkę, o podanie mu ręki. Zaprawdę piękna zręczność uczynienia przysługi narodowi i przyszłości... Józef Supiński to jedna z najpiękniejszych postaci Galicyi, to jeden z męczenników pracy i idei, spokojny przy swém cierpieniu, a nieustający w wykończaniu pism, których my ani ocenić nie umieliśmy, ani mu do ich wydania dopomogli. Los nam zdarzył w czasie bytności we Lwowie, na pamiętném bratniem przyjęciu u jednego z nim siedzieć stołu obok... dziwnie, bośmy po lewéj mieli ślepego wieszcza Winc. Pola, po prawéj oślepłego ekonomistę Supińskiego, a w sercu świeże tego dnia wspomnienie łoża dogorywającego Szajnochy, który także wzrok utracił... Na jedno miasto, współcześnie trzech ludzi co wypłakali i wymęczyli oczy... nie wiem czy co podobnego gdzie się powtórzy... Polski na to potrzeba by się pochlubić mogła takiemi trzema jasnowidzącymi bez oczów. — A gdy mowa o Polu — powiedzmyż że w Strzesze drukuje Obrazki litewskie i że Towarzystwo Krakowskie Oświaty, (niegdyś wydawn. dzieł tanich i pożytecznych) także wydało jego obrazy kraju, który on tak żywo malować umie. — O konkursie krakowskim wiecie zapewne, bo dosyć był głośny. Komedyę uwieńczoną wielce utalentowanego P. J. Narzymskiego już drukować zaczął Tygodnik illustrowany. — Druga po niéj Bałuckiego, Pracowici próżniacy, wyjdzie też zapewne w którem z pism naszych. — Dramat Gero, któremu zalety stylu i poezyi przyznała wielkie komisya konkursowa, jest dziełem młodego Warszawianina, który się podpisywał Józefem z Mazowsza (Wojciechowskiego).

Zobaczymy też pewnie na scenie i komedyę Wołodego Skiby, która stawała do konkursu i otrzymała wzmiankę zaszczytną, a wkrótce ukażą się w jedném z pism „Tromtadraci“ Aur. Urbańskiego. Te teatralne nowości niezawadzą, bo teatra żyją ciągle tłomaczeniami Frufru i rzeczy które przy całym artyzmie wykonania dla naszéj społeczności są niezdrowym pokarmem. Znałem dziwaka lekarza, który utrzymywał że natura wszędzie gdzie postawiła człowieka, obok niego rodzi lekarstwa na jego choroby, i że ich daleko szukać nie potrzeba, bo gdzie słabość powstaje, tam i lek Pan Bóg daje. — Toż możnaby powiedzieć o literaturze, a szczególniéj teatrze, który lekarstwem jest na społeczne wady i ułomności — a winienby być owym lekiem, co w domu rośnie na grzędzie. Przywożone specyfiki są bardzo skuteczne... ale bywają truciznami i dozą ich ostrożnie miarkować potrzeba. Gdy da Bóg, że teatr narodowy w Poznaniu stanie, pomyślawszy o nim, należałoby w ostatku pomyśleć i o repertuarze i o podbudzeniu pracowników, którzyby go zasilali. Mówiliśmy o tém razy kilka, a nie zawahamy się powtórzyć jeszcze — że autorowie dramatyczni u nas, nie mogą mieć bodźca do tworzenia, bo oprócz sławy jaką im dają afisze... nie znajdują żadnego wynagrodzenia za pracę. Często trudno im się o druki doprosić, na scenie z wielkim podziwem swym znajdują, że reżyser pookrajał ich, poprzemieniał, poskracał, że artysta jeszcze umyślnie lub bezmyślnie w fałszywym wystawia świetle, przesadzając charaktery albo je nawet zmieniając... i cóż za ochota drugi raz dla sceny pisać! Naturalnie schodzi to potém na wyrobników i teatra padają a smak publiczności się psuje. — Z przedmiotów polskich parę dramatów grywają teraz na scenach niemieckich, Marynę (Mniszek) Mosenthal'a, Vita Stwosza (którego przełożono na polski język) Primnia, jakąś Jadwigę, że już nie wymienię Puttlitza owéj Katarzyny II. która jest najpoczwarniejszą fantazyą pod pretextem niby historycznego dramatu... Na teatrze Drezdeńskim ukazuje się czasami Wanda (opera z czasów Sobieskiego) z muzyką na wskroś polską, choć libretto pisał kosmopolita. — O śmierci Bosaka, o jego pogrzebie, czytaliście we wszystkich pismach dziennych, o jego męztwie i heroizmie... wiecie już, nie wiecie jednak może, że w bohaterze był i artysta... Żyjąc w tém zaciszu Carouge pod Genewą, z którego w pogodne dni olbrzym Mont Blanc na niebie się maluje jak sen poetyczny, nad jedném z najpiękniejszych jezior w świecie, wśród natury co natchnęła mistrza Calam'a Boki... Wiemy o jego kompozycyach w tym rodzaju godnych ażeby je szerzéj poznać dano, czemu też żadne z pism illustrowanych nie postarało się

o wizerunek człowieka*), który charakterem i czystością ducha stanął tak wysoko, i na cześć a pamięć naszą zasłużył. Wdowa też po ś. p. generale jest artystką, i dom ich był kątkiem, w którym umiano czuć piękno wszelkiego rodzaju... Sztuka cieszyła wygnańców i skracała długie dnie tułacza... Ze wszystkich sztuk u nas kto wie czy muzyka nie jest dziś najszczęśliwiéj i najpowszechniéj uprawianą. Wirtuozów zliczyć trudno, kompozytorowie długim stoją szeregiem z Moniuszką na czele, którego Halka mimo polskiego Mazura brzmi nad Newą i zachwyca... Straciliśmy wielce sympatycznego Dunieckiego, ale na jego miejsce wstępuje Wł. hr. Tarnowski i Żeleński; oba znakomicie wykształceni, lecz pierwszy z nich poeta sercem całém, pełen natchnienia i niepospolity już dziś artysta. Koncert w Wiedniu w salonach Bösendorfera dał go poznać muzykalnemu światu stolicy naddunajskiéj, kiedyś przecie i w kraju kompozycye jego posłyszymy. Uczeń Liszta ukochany, fortepianista wyborny — poświęciwszy się nauce kompozycyi, instrumentacyi i zbieraniu wrażeń muzykalnych, które są praktyką niezmiernéj wagi — długie lata, hr. Tarnowski w sile wieku, w sile talentu, z wielostronną nauką i wyrobieniem, zapowiada nam mistrza... A jakże niedodać (choćby go skompromitować przyszło) że na jego ręku skonał ten zacny Dubiecki, który suchot dostał dźwigając skrzynkę kolportera po Szwajcarskich górach i cięższe od téj skrzyni tęsknoty za rodziną i krajem... Żeleński, którego koncert niedawno się odbył w Krakowie jest też znakomicie wykształconym artystą. W ogóle kwitnie w Galicyi muzyka; poczucia piękna w sztuce dowodzą téż Matejko, Grottger, Teppa, Eljasz i mnodzy malarze a rysownicy. Odetchnęliśmy lżéj gdy ustało bombardowanie Paryża, bo tam i naszych pamiątek i skarbów dosyć się schroniło .. Unija téż była oblężoną... Zacny nasz artysta także i historyk Bronisław Zaleski z trwogą słuchał świstu bomb padających na Quai d'Orléans w pobliżu biblioteki polskiéj. — Bohdan był szczęściem w Hyères i tam się modlił za przybraną ojczyznę... Dziś jesteśmy w przededniu pokoju... dziś to przeszłość należąca do historyi... Zostanie w niéj i nasza karta, któréj się nie powstydzimy... Co się stało z Maleszewskim, którego portret Dra Libelta zawiesicie w waszem Towarzystwie Przyjaciół Nauk niewiemy*). Zdaje się że niebył w Paryżu w czasie tego okropnego głodu, z którego jeszcze dziś umierają ci co go przecierpieli. Mamy nadzieję, że przytulone w Bazarze Towarzystwo Przyjaciół Nauk znajdzie odpowiednie bogacącym się swym zbiorom pomieszczenie. — Teatr niezawodnie potrzebny, ale gmach któryby pomieścił bibliotekę i muzeum Towarzystwa nie mniéj konieczny, należałoby i o to się postarać. Nasze składki w ogóle grzeszą tém, że chcą nagle i tylko od zamożnych, grosza narodowéj jałmużny a raczéj podatku... W Czechach groszówki ludu powoli ale ciągle z sypują się do skarbony i składają tysiące Niezawsze można i mogą, gdy ich i zawsze jednych dotyka to podatkowanie, ubogi da wedle siły i możności, a czemuż go nie przypuścić do téj spółki, z któréj dając swój fenig, czerpałby za to siłę moralną, poczucie swéj godności i zajęcie tém na co złożył ofiarę? Szkoda że nam brak wielkiéj jednéj cnoty, cierpliwości. A tak nas dawno, długo i uparcie uczą jéj nieproszeni profesorowie!! Palim się płomiennym ogniem... choć uczy przysłowie a raczéj aksiomat, że świat mają posiąść flegmatycy... zdaje się, że my go chyba nie opanujemy nigdy!

B. Bolesławita.

*) Kiedy to autor pisał, numer 9 Sobótki z portretem i życiorysem generała Bosaka niebył mu znany. (Przyp. Redekcyi).

*) Pospieszamy donieść interesującym się panem Maleszewskim, że przed trzema miesiącami opuścił Poznań i połączył się z małżonką w Bordeaux, gdzie prawdopodobnie dotąd przebywa. (Przyp. Red.)

Szarada.

Pierwszemu drugiemu ofiary dajemy,
Pierwsze z czwartem, przymiot tegoż rzeczownika,
Z pierwszéj, drugiéj i trzeciéj, imię wynika,
Czwartem nazwiska charakteryzujemy.
Wszystko, otrzymamy pisarza naszego,
W literaturze Polskiéj dobrze znanego

(Rozwiązanie szarady w Nr. 9: *Sardanapal.*)

Korespondencye Redakcyi.

Odpowiedź Gazecie Toruńskiéj. W jednym z ostatnich numerów Gazety Toruńskiéj spotykamy kilka zarzutów wystosowanych przeciw Sobótce, na które, przeciw naszemu zwyczajowi i pomimo braku miejsca, czujemy się w obowiązku odpowiedzieć.

Pierwszy zarzut stosuje się do wyrażenia autora „Z podróży" o kanonizowaniu I. I. Roussa. Nie upieramy się przy twierdzeniu, że wyrażenie to jest ścisłe i trafne, ale jeżeliby Gazeta Toruńska chciała przeczytać zdanie następne, toby się przekonała, że inkryminowana myśl nosi cechę żartu, od którego w opowiadaniu potoczném i w tonie lekkim, w jakim cała opowieść jest trzymana, nie można wymagać ścisłości teologicznéj Gazety Toruńskiéj. Wzgląd ten powinien był, jeżeli już nie usprawiedliwić, to przynajmniéj zarzut umniejszyć.

Drugi punkt stosuje się do ostatniego Przeglądu Teatralnego, w którym określone są rodzaje krytyki: Empirycznéj, Adoracyjnéj i Filozoficznéj. — Gazeta toruńska nie twierdząc nic, powątpiewa o słuszności podobnego działu i zarazem robi zarzut określeniu krytyki Adoracyjnéj. — W potępionym artykule powiedziano jest, że „krytyka adoracyjna zasadza się na regułach prostego rozumu, często na uprzedzeniu lub powodach względności, że krytyka tego rodzaju nic nie wyjaśnia i żadnych praw nie stawia." Gazeta Toruńska robi pytanie jak pogodzić rozum z uprzedzeniem? — Otóż odpowiadamy że krytyka taka nie stawiając żadnych praw, zasadzając się na osobistem wrażeniu nie popartem regułami estetycznemi, może opierać się stósownie do osobistości krytyka na regułach prostego rozumu, lub na uprzedzeniu, lub w końcu na powodach względności. Dla nas jest to jasném, a że Gazeta Toruńska tego pojąć nie może, to już chyba w niéj samej powód leży.

Ale ostatni zarzut wydaje się nam najdziwniejszym, tem bardziéj u Gazety Toruńskiéj przybierającéj ton naukowéj powagi. — Sobótka w Przeglądzie teatralnym twierdzi, że treść Froufrou nie jest tak lekką, jakby to na pozór zdawać się mogło, i że nawet byłaby do użycia, jako osnowa powieści. Gazeta Toruńska robi wykrzykn i na tém twierdzeniu i dziwi się, jak można w ten sposób pomięszać dramat z powieścią.

Jeżeliby Gazeta Toruńska zechciała tylko zajrzeć do spisu książek, toby się przekonała o niesłuszności twierdzenia swego. Nie jedna już dotąd powieść mianowicie w literaturze francuzkiéj służyła za temat do dramatu i nie jedna treść dramatu była osnową powieści. Wspomnimy tu tylko Damę z Kamelią, Król się bawi i t. d. — I naszéj nawet literaturze dramatycznéj, tego rodzaju prace nie są obce.

Widocznie robiący nam zarzut nie miał jasnego pojęcia o różnicy: Komedii, Tragedii i Dramatu. Dramat charakterem osob, nie formą, zbliża się bardzo do charakteru postaci do powieści wprowadzonych i na odwrót.

Co zaś tyczy się Froufrou, przejrzeliśmy wszystkie poważniejsze krytyki Francuzkie i Niemieckie i tak przysposobieni do naszéj pracy przystąpiliśmy. A że nie my jedni w ten sposób treść Froufrou oceniliśmy, niech Gazetę Toruńską przekona Revue des deux Mondes z r. 1869. gdzie na stronnicy 505 następujące spotykamy zdanie: On y trouverait la matière d'un très joli roman, et puisque M. M. Meilhac et Halévy ont le talent si varié, ils devraient bien nous raconter à nouveau cette histoire de Froufrou qui'ls sont débuté par mettre en scène.

Odpowiedzieliśmy Gazecie Toruńskiéj dla tego, ażeby przytaczając jéj twierdzenia, przekonać czytelników, co to u nas czasem może być drukowane.

Panu Herkulesowi w Poznaniu. Robiono nam zarzut zbyt ostrych odpowiedzi na korespondencye które otrzymujemy; chcąc się usprawiedliwić w oczach p. Herkulesa i publiczności przytaczamy list jego, zachowując styl i ortografię oryginalną.

Łaskawy Panie!

Wpierwszych dniah grudnia przesłałem Panu wiersz pod tytyłem. Hłopcy. aby był umiesczony w Sobutce, lecz nie znajduju powodu dla czego. Pan odpisał wnastypnem No. że z jakichs powodow nie moze być drukowny. Nie pojmuję z kiej przyczyny!. wiesz był bardzo piękny nikogo nie komprowitował zarozem zapytyju się Pana czybys był tak łoskaw pzyjmować listy zrozmuitem nowosciami z Miasta wiosok ild z Pałaców i chatek wzcydże zmyślom się wkradać czy wesoło zabszmi muzyka skocznego Mozura, lub szczesliwy Wini Creator, wzędze bydz nę mojem. Aby tylko zostąpić w czysci śp Woitusia, nieodżałowony ten mąż zgasł niezostawiojąc zadnego wspomnienia po so sobie, więc łoskowy Pan bąd tak łaskaw donieść mi wnostypnym Nomeże Sobutki czy się zgadzasz na podobny propozycią bym co tydzień mogł zapełnic Pamy tego pismu memi listami. Oczekując jak nojprędszego rezultatu pozostaję z szacunkim Herkulo

P.S. proszy bardzo o zwrot Momskryptu jezeli Pan go niepotsebuje Herklo

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Spółki. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel.)